TYGODNIK
POWIEŚCIOWO-NAUKOWY.

WYCHODZI CO CZWARTEK KAŻDEGO TYGODNIA.

W. DYNIEWICZ, WYDAWCA I WŁAŚCICIEL, 532 NOBLE STREET, CHICAGO, ILLS.

PRENUMERATA ROCZNA WYNOSI:

DLA NAPRZÓD PŁATNYCH ABONENTÓW „GAZETY POLSKIEJ"	DLA TYCH, KTÓRZY NIE ABONUJĄ „GAZETY POLSKIEJ"
W Stanach Zjednoczonych i Canadzie $1.00	W Stanach Zjednoczonych i Canadzie $2.00
Do Europy, Meksyku, Ameryki Południowej i Azyi 1.50	Do Europy, Meksyku, Ameryki Południowej i Azyi 2.50

PRENUMERATĘ PRZYJMUJE SIĘ JEDYNIE NA CAŁY ROK, I MUSI BYĆ NAPRZÓD OPŁACONĄ.

Entered at the Post-Office at Chicago, Illinois, as Second-Class Matter.

No. 8. *Chicago, Ills., 19 Sierpnia, 1886 r.* Rok III.

DAMIAN RUSZCZYC

POWIEŚĆ

— Z —

CZASÓW JANA III.

— PRZEZ —

FRYDERYKA hr. SKARBKA.

(Ciąg dalszy.)

Z zapałem powtórzono wszędzie okrzyk radości, który się długo po wszystkich częściach ogromnego gmachu rozlegał, i powoli się w szmer powszechny zamienił, zwłaszcza gdy dano znak, iż wszyscy goszczący do posilenia się przystąpić mieli.

Damy zajęły miejsce u stołów pomiędzy sklepami zastawionych, mężczyzni gromadzili się przed bufetami w sklepach i koło stołów przez damy zajętych. Wszędzie słyszano wznaszane zdrowia, i w kupach przed sklepami zgromadzonych widziano puchary i czapki w górę wzniesione. Odgłosy muzyki, wesołe rozmowy tysiąca goszczących, nieustannie wznaszane zdrowia, wszystko to sprawiło głuszący hałas, w którym ani wyrazów mowy ani tonów muzyki rozeznać nie można było.

Po skończonej biesiadzie, gdy zniesiono stoły, wystąpił król na środek sali, i prowadząc królową polskiego rozpoczął tańca. Wszystko

z zapałem ruszyło się za monarchą, nieprzejrzany okiem szereg tańcujących wił się po całym gmachu; na każdej twarzy widać było wyraz zapału i szczerej wesołości; przy zawrocie koła widziano tysiące rąk wyloty od kontuszów na plecy zarzucających, i czapki z pod jednej pachy pod drugą przekładających. Sam Jan III, postawą i ruszeniem między wszystkimi obecnymi jako piękny Polak celujący, wesołością swoją wszystkim dodawał ochoty. Odprowadziwszy królową po pierwszym tańcu, wziął gospodynię festynu do drugiego i potem kolejno ze znakomitszemi damami tańcował.

Po skończonych tych tańcach gdy się młodzież do innych zabierała, oddalił się król z królową i z księciem Jakóbem, niespostrzeżony od goszczących, zostawując większą część dworu swego na zabawie.

Odetchnął Mondor, gdy oddalającego się księcia Jakóba spostrzegł, i zbliżył się natychmiast do Maryi, która w gronie innych dam dworskich po tańcu odpoczywała. Najżywsza wesołość malowała się na jej twarzy, uprzejmie żartowała z siedzącemi obok siebie damami. Mondor stał się przedmiotem przyjemnego jej prześladowania; to dobiera z pomiędzy obecnych panien przedmiot miłośnych zapałów dla niego, to zręcznie odwracała od siebie wszelkie słodkie wyrażenia, które Mondor do niej stósować usiłował, i lubo istotnie żadnej pocieszającej nie dawała mu nadziei, był on wszelakoż uszczęśliwiony samą sposobnością dłuższego z nią rozmawiania, i cieszył się tą wątłą otuchą, że szczęśliwsza dla niego chwila zabłyśnie.

Właśnie zbierali się panowie i dworzanie francuzcy do swego narodowego tańca; prowadząc damy dworskie tańczyć go mające, stawali już w kilku kołach. I Mondor wyprowadził Maryą, szczęśliwy iż przedłuży chwilę wesołej z nią zabawy; już zwykłe przed rozpoczęciem tych tańców poczyniono ukłony, muzyka zaczynała przygrywać zagraniczne melodye;... gdy okrzyki radośne od drzwi gmachu pochodzące zagłuszyły wszystko i rozpocząć się mające kadryle przerwały. Zgiełk powstał, wszyscy obecni przez ciekawość tańczyć mających otaczający, do miejsca zkąd odgłosy pochodziły, cisnąć się zaczęli i rozstawione szyki tancerzy pomięszali.

Mondor na rozkaz Maryi chciał biedz za drugimi, gdy spostrzeżono zbliżającą się ciżbę a nad głowami wszystkich młodzieńca w polskim stroju, którego kilkunastu z młodzieży na rękach z okrzykami radości niosło i stanąwszy przed bufetem blizko Maryi będącym, żądało wina aby spełnić jego zdrowie.

Żywy rumieniec okrył lica Maryi i serce mocno bić zaczęło, gdy na niego spojrzała; byłto bowiem książę Jakób, który odprowadziwszy rodziców do zamku, wracał jeszcze dzielić powszechną zabawę i zamienił strój francuzki na biały atłasowy żupan dyamentową spinką spięty i po huzarsku bogato złotem szamerowany i na aksamitny karmazynowy kontusz sobolami podbity. Gdy go w tym stroju wchodzącego spostrzeżono, powstał natychmiast okrzyk radosny który przerwał tańce francuzkie. Zapał przejął wszystkich na ten dowód poważania znakom narodowym przez królewicza dany, dla tego wniesiono go na rękach i wśród powszechnego zgiełku po kilkakroć jego zdrowie spełniono.

Długo nie śmiała poglądać na niego Marya, ażeby nie dostrzeżono co się w jej sercu działo; to spuszczała oczy na ziemię, to obojętną rozmową z towarzyszkami swemi pokrywała pomięszanie własne. Lecz gdy książę oswobodził się z rąk zapałem uniesionych goszczących, gdy się do niej zbliżył i rzekł:

— Wypełniłem rozkazy Pani i nie żałuję tego.

Natenczas nie zdołała już ukryć pomięszania swego, podziękowała lekkim uśmiechem księciu, i jak gdyby sumienie jej winą obarczone było, spojrzała truchlejąca po osobach bliżej niej stojących, czy kto z obecnych śledczego oka na nię nie zwraca.

Chcieli rozpocząć na nowo przerwany taniec Francuzi, Mondor zbliżył się nieśmiało do Maryi i ponowił dawne zaproszenie; lecz książę spojrzał na niego groźno, zapytał się co to miało znaczyć? a dowiedziawszy się o jego zamiarze, nic nie odpowiedział, lecz podał uprzejmie rękę Maryi, poskoczył z nią na środek sali i zawołał donośnym: Krakowiaka. Ustąpili powtórnie gniewem przejęci Francuzi, długi szereg nadobnych par polskich zastąpił ich miejsce, i w równie wabnych jak wesołych pląsach żywo całą między widzami otwartą przestrzeń tam i napowrót przebiegł. Gdy miano mijać tron królewski, zatrzymał się w drugiej parze tańcujący przystojny młodzieniec, zaprosił królewicza aby także

chwilkę wstrzymać się raczył, a obróciwszy się do tronu, odśpiewał następującą zwrotkę, którą mu chwila uniesienia natchnęła:

Hola grajki! niech się w koła
 Skoczny taniec wiąże,
Niechaj serce z ust zawoła:
 Wiwat Polski książę!

Milczał śpiew wśród szczęku broni,
 W zbroi ustał taniec,
Gdy nad światem pęta w dłoni
 Potrząsał pohaniec.

Lecz pozbywszy z serc obawy
 Bądźmy znów weseli,
Wódz co dzielił trud nasz krwawy,
 Radość naszą dzieli.

Teraz pora, niech mu za to
 Wdzięczność się wypłaci!
Bo najmilszą dlań zapłatą
 Widok szczęścia braci.

Po odśpiewaniu tej pieśni ruszył jeszcze żwawiej naprzód liczny orszak tańcujących, a wszyscy powtarzali ostatnie słową śpiewaka, który gdy wrócił przed tron, zatrzymał się znowu i śpiewał.

Lecz gdy pięknie z obcych krajów
 Mieczem zrzucać pęta,
Strzedz swojego praw zwyczajów
 Jest powinność święta.

Niechaj chrześciaństwa wrogi
 W lekkim chodzą stroju,
By wolniejsze mieli nogi
 Do ucieczki z boju.

Lecz Polacy niech żelazem
 Piersi w bojach kryją,
Nieugięte jest obrazem
 Serc co pod niem biją.

A gdy stępi wrogów strzały
 Wróćmy do kontusza;
Niech strój będzie tak wspaniały,
 Jak jest polska dusza.

Radośny szmer na pochwałę śpiewaka rozległ się po sali, wszyscy tańczący z uniesieniem ostatnie powtarzali wyrazy, a otaczający ich z obu stron Polacy tupali nogami za taktem muzyki, pokręcali wąsów, zarzucali wyloty, a bardziej podochocemi wznosili czapki w górę i głośne wydawali okrzyki.

Gdy się skończył ten narodowy taniec, w którym królewicz oddał się z uniesieniem wesołości i rozkoszy, przez powszechny zapał i wdzięki Maryi wzbudzonej; przystąpiła do niej ochmistrzyni dworu i żądała niezwłocznego oddalenia się wszystkich panien dworskich, bądźto podmówiona przez rozpaczającego Mondora, bądź też urażona sama o mniemaną zniewagę wszystkim jej ziomkom wyrządzoną, która ich do wczesnego opuszczenia balu zmusiła. Królewicz nie dozwolił wszelakoż na to, aby Marya natychmiast odjeżdżała, zdołał odwlec jej oddalenie się pod pozorem potrzeby należytego wypoczęcia po tańcu; nie odstępował jej, ciągle z nią rozmawiał, póki niecierpliwa ochmistrzyni z całym swoim orszakiem z miejsca się nie ruszyła.

Łatwo pojąć, jak wielkie wrażenie ten wieczór na żywej wyobraźni Maryi uczynił. Próżno szukała spoczynku wróciwszy do swego samotnego mieszkania; sen stronił od powiek bo pamięć zbyt była jeszcze pełna obrazów i uczuć, które ją w tym dniu pamiętnym zajmowały. Widziała ubóztwionego monarchę w całej świetności majestatu, odbierającego dowody przywiązania od narodu swego, a syn jego, przyszły może król polski, łaskawym na nią poglądał okiem, zajęty jej wdziękami usłuchał jej rady. Przybrał strój polski i składał jej dzięki za dowody przychylności powszechnej, które za to odbierał. Królewicz dał jej pierwszeństwo przed wszystkiemi innemi damami, z nią ciągle niemal tańcował, z nią uprzejmie rozmawiał; a ten królewicz był pierwiastkowo równego z nią urodzenia, byłto syn hetmański, szlachcic polski, który mógł był bez poniżenia powziąść miłość do Modrzejowskiej, a raz przejęty tem żywem uczuciem przezwyciężyć z czasem wszelkie przeszkody, któreby duma matki lub widoki polityczne stawiać mogły. On mógł zostać królem, mógł potrzebować wówczas rady przyjacielskiej małżonki, w której sercu miłość ojczyzny najpierwsze miejsce miała; za jej wpływem, za natchnieniem jej miłości, mógł on uzyskać przychylność narodu, do której osobista waleczność mu dawała. Jakby to piękne, jak wzniosłe było powołanie niewiasty, któraby niosąc ulgę jego trudom, nad tem tylko pracowała, aby mu miłość poddanych zachować. Tak wysokie przeznaczenie mogło czekać Maryą; wszakże nie pierwszaby była z rodu szlacheckiego na tron wyniesioną Polką! a gdyby nawet wzbudzać miała zawiść, uprzejmością, cnotami można było przemódz nad nią i zjednać sobie wdzięczność i miłość narodu.

Takie słodkie marzenia przez noc całą zajmowały żywą wyobraźnię Maryi; późno już było na dzień, gdy sny zwodnicze najpiękniejszemi obrazami uśpioną łudzić zaczynały; lecz wtedy właśnie wpadła z oznakami radości jej poko-

jówka i oznajmiła ledwo co ocuconej Maryi, że jej narzeczony, Pan Ruszczyc, przybył do dworu.

ROZDZIAL IX.

Drzwi się znagła otwarły. Aż tysiąc ukłonów.
Wchodzi pan, już umilkła świergotliwa zgraja,
Każdy się inszym kształtem łasi i przyczaja,
Każdy patrzy na pana a wzroku docieka,
Czego albo się chroni, albo na co czeka.
Wszystkie się usta śmieją, ciągną wszystkie szyje,
Ten się pcha, ten powraca, ten się jak wąż wije,
Wszyscy na to, kogoby pan giestem oznaczył,
Spojrzał pan na Szymona, dniem dobrym uraczył,
Aż ci Szymon w promieniach, śmieje się i mruga,
Jak go kocha serdecznie, Piotr najniższy sługa.

Krasicki. Sat.

Już blizko było południa, kiedy przed bramą zamkową stojący na warcie żołnierz piechoty łanowej, zatrzymał wchodzącego szlachcica temi wyrazy:

— Niewolno.

Na to odwinął ferezyę szlachcic, spojrzał gniewnie na żołnierza, który przypatrzywszy mu się odstąpił na bok, dał mu pokłon żołnierski i rzekł:

— Pan rotmistrz, to co innnego.

Z powagą oddał Ruszczyc ukłon żołnierzowi, i z dobrą miną wszedł do zamku. Nie miał on żadnych znaków wojskowych, bo zwykł mawiać: że wśród pokoju wraca Polak do pługa i na poselską ławę, a tam mu zbroi ani tarczy nie potrzeba. Lecz po minie i po całem ruszeniu poznać można było doświadczonego wojaka, który z niezwykłą sobie wykwintnością uroczysty strój przywdział, aby się u dworu pokazać.

Gdy stanął u drzwi głównego wchodu do pokojów królewskich, zatrzymał go hajduk z oświadczeniem, iż nie może iść dalej bez uzyskania na to pozwolenia od wielkiego marszałka dworu, do którego się udać wypadało za pośrednictwem dworzanina na służbie będącego z prośbą aby raczył zapisać nazwisko jego na wykazie osób w dniu dzisiejszym królowi przedstawić się mających. Nie chciał na to zważać Ruszczyc i gdy nadbiegł dopiero wspomniony dworzanin dla ułatwienia tej sprzeczki, rzekł do niego odpowiadając na powtórzone sobie oświadczenie hajduka:

— Mój paniczu! nie dla mnie zrobione te wszystkie zachody, jam nawykł poprostu iść do króla, kiedy tego mam potrzebę i mnie się w obozie przed jego namiotem nikt o nazwisko nie pytał, nim mnie do niego dopuszczono. — To mówiąc, nie czekał dalszej odpowiedzi i wszedł do przedpokoju królewskiego.

Tam zastał dosyć liczne zgromadzenie; dwóch hajduków węgierskich z halabardami stało u drzwi do pokojów królewskich prowadzących. Kilka osób różnego stanu otaczało w oknie stojącą osobę, przysłuchując się jej powieści: na ławie przy ścianie siedzial przystojnie przybrany żyd, który nie zważał na to, co się koło niego działo i zatopiony był w rozmyślaniu, a poruszenia głowy i palców okazywały, iż rachunkami jakiemiś był zajęty.

Wszedłszy stanął Ruszczyc na środku, nie wiedząc do kogo się ma udać, ażeby sobie wstęp do pokojów królewskich ułatwić; dworzanin bowiem obstawał przy tem, ażeby się marszałkowi dworu zalecił. Obejrzawszy się na wszystkie strony, a nie chcąc zająć miejsca na ławie obok żyda, obrócił się do osób w oknie stojących i spostrzegł między niemi średniego wieku mężczyznę, którego ubiór księcia a mowa cudzoziemca wydawały, i który bardzo szybko i płynnie opowiadał jakieś zdarzenie otaczającym go ciekawym. Byłto człowiek wysoki, chudy, którego żywe oczy, wysokie czoło, usta pochlebnego wyrazu pełne, i włos na głowie rzadki i płasko przyczesany, na pierwszy rzut oka dworaka biegłego w sztuce tajenia własnych, a odgadywania obcych myśli, okazywały. Spostrzegł on Ruszczyca i nie przerywając sobie bynajmniej mowy, śledcze oko na niego zwrócił; uderzyło go bowiem wejrzenie śmiałe rotmistrza, sądził po niem, że to nie musiał być człowiek łaski potrzebujący, domyślał się, iż to może jest jaki z mniej życzliwych dworowi, i ciekawość jego tak się zaostrzyła, że ustawał coraz bardziej w żywości, z którą poprzednio rozmowę prowadził. Odstąpiwszy innej osobie prawo zabrania głosu, potakiwał czas niejaki obojętnie, a z boku poglądał na Ruszczyca, ciągle się z dworzaninem sprzeczającego, aż nakoniec wymknąwszy się zręcznie z pomiędzy otaczających go i zbliżywszy się ku niemu, uprzejmym i na pół pokornym powitał

go ukłonem, Ujęty tą grzecznością oddał Ruszczyc pokłon uprzejmie, lecz obojętnie.

Po krótkiej chwili milczenia przemówił do niego nieznajomy w języku łacińskim, i zapytał w jakim zamiarze przybył do dworu?

— Chcę widzieć króla — odpowiedział Ruszczyc, — tęskno mi już bez niego, lubom się niedawno z nim rozstał.

Spojrzał nieznajomy na rotmistrza, i od stóp do głowy okiem go przemierzył, chcąc się domyślać co to mógł być za człowiek, co tak poufale o królu rozmawia. Ten zaś nie zważając na to mówił dalej:

— Nie znam ja zabiegów dworskich, bom tylko w obozach naszego Pana hetmanem i królem zaznał, i dziwno mi się zdaje, że mię tu wszędzie zatrzymują, jak gdyby każdy szlachcic i wierny sługa królewski nie był godzien wolnego przystępu do jego osoby.

— Illustrissime — odpowiedział cudzoziemiec, — nie jestem ja prawda świadom zwyczajów tego kraju, do którego nie zbyt dawno przybyłem, nie wiem jakie są prerogatywy tutejszych panów, ale ilem mógł dosłyszeć o zwyczajach innych dworów, to cierpliwość i uniżoność najlepszemi są przewodnikami do przysionków królewskich.

— A zkądże jesteście rodem — rzekł Ruszczyc, — że was moja otwartość tak zadziwia?

— Nazywam się Wota — odpowiedział z miłym ukłonem cudzoziemiec, — Sardynia moją ojczyzną, a dwór cesarski jest dla mnie tem dobroczynnem słońcem, pod którem wszelkie szczęście moje powstaje i wzrasta.

— My Polacy — rzekł na to Ruszczyc z przyciskiem, — żyjemy na północy; u nas promienie słońca dworskiego tak wielkiego skutku nie wydają; dla tego nawykliśmy prostą drogą męztwa i zasługi zmierzać do celu życzeń naszych.

Uśmiechnął się ironicznie Wota i kłaniając się rotmistrzowi rzekł:

— „Egregie dixisti... Ale w jakimże interesie przybywacie do króla? bo wszelako, jeżeli macie prosić o jaką łaskę, to powolność i upatrzenie dogodnej pory, w którejby z królem mówić można, najprędzej do pożądanego celu doprowadzą.

— Nie gardzę nigdy łaską królewską — rzekł Ruszczyc, ale dzisiaj sprawiedliwości dopraszać się będę, i dla tego...

Wtem otworzyły się drzwi od pokojów królewskich; wszyscy ruszyli się i odskoczyli na bok a Wota nie czekając dokończenia peryodu Ruszczyca, odbiegł szybko od niego, aby najbliższe miejsce przy drzwiach zająć. Wyszedł żyd Jonasz, lekarz królewski, a za nim dworzanin, który drzwi przymknął i przy nich został. Jonasz poszedł do drugiego żyda spokojnie na ławie siedzącego; pomówił z nim cicho, i oddalając się od niego wskazał na drzwi pokojów królewskich, do których żyd pokornie się tłocząc między wszystkimi doszedł, i przez dworzanina do dalszych pokojów wpuszczony został.

Wota pobiegł za oddalającym się Jonaszem, przywitał go uprzejmie, zatrzymał przy drzwiach i różne mu pytania o stanie zdrowia i o humorze króla czynił.

Po długim oczekiwaniu wyszedł nakoniec dworzanin i oświadczył obecnym, iż król Jegomość nikomu posłuchania w dniu dzisiejszym dla wielkich zatrudnień dawać nie będzie; jeżeliby wszelakoż kto z obecnych życzył sobie widzieć monarchę, może pozostać gdyż Jego Królewska Mość wkrótce tędy do pokojów królowej przechodzić będzie.

Zasępił się nasz rotmistrz i chciał się już oddalić, nie rad temu, że takiej zwłoki doznaje; lecz gdy wspomniał na ukochanego Pana swego i na to, iż samochcący pozbawi się szczęścia oglądania go dzisiaj; zatrzymał się nagle przy końcu izby, i spostrzegłszy, że się drzwi z pokojów królewskich otwierają, stanął sobie przy boku. Uśmiech radości osiadł na jego ustach, a oczy wyrazem życzliwej ciekawości przejęte wróciły się ku stronie, od której monarcha miał przybyć. Nie widział on paziów, szambelanów, i marszałka dworu, którzy go mijali poprzedzając króla; lecz gdy go samego spostrzegł zdaleka, wysunął się nieco naprzód, podniósł głowę do góry, pokręcił wąsa, zarzucił oba wyloty od kontusza na ramiona, sparł prawą rękę na karabeli, lewą za pas włożył i z wyrazem uniesienia na każde ruszenie króla poglądał.

Przeszedł monarcha między kłaniającymi się, tem pokorniej i tem niżej, im który więcej łaski potrzebował, a uśmiechnął do Woty i po włosku dnia dobrego mu życzył; lecz gdy oko

jego spotkało śmiałe i radością przejęte wejrzenie Ruszczyca, zatrzymał się i rzekł:

— A! i ty tutaj rotmistrzu; bądź pozdrowion, czy żądasz czego odemnie?

— Miłościwy Panie — rzekł Ruszczyc, wysuwając się naprzód śmiało przed tych, którzy mu miejsce zabierali, — Wasza Królewska Mość kazałeś mi się stawić przed sobą, w razie gdybym Jego wysokiej łaski potrzebował; dla tego uciekam się dzisiaj do niej śmiało i otwarcie, lubo mię dworzanie Waszej Królewskiej Mości przed jego oblicze puścić nie chcieli.

— Domyślam się czego żądasz — rzekł król, — równieś widzę skory do boju jak do miłości. Wolniejszym czasem pomówimy o tem z sobą.

Na to sięgnął Ruszczyc żywo na kontusz, dobył papier i rzekł, podając go królowi:

— Najjaśniejszy Panie! oto jest pokorny list od wuja i opiekuna Jejmość Panny podskarbianki Modrzejowskiej, który aby łaskawe przyjęcie u waszej królewskiej Mości znalazł, oto ja, wierny sługa W. K. M. proszę.

Przyjął łaskawie monarcha list podany i dodał:

— Rotmistrzu! możesz być pewnym moich względów; jutro o tej samej godzinie stawisz się tutaj, a odbierzesz pożądaną odpowiedź.

Skoro się król oddalił, otoczyli wszyscy Ruszczyca dziwując się temu, że pomimo zapowiedzenia król jemu samemu tylko dał posłuchanie; poglądano na niego z pewnym wyrazem poważania i dawano mu dowody względności, której go wprzódy, jako nieznajomego, godnym być nie sądzono. Z wypogodzoną twarzą zbliżył się Wota ku niemu, winszował mu szczególnie uprzejmego przyjęcia od monarchy, i szczycił się tym, że w części przynajmniej mógł z nim dzielić w dniu dzisiejszym łaskę króla, który i do niego słów parę przemówić raczył.

Lecz pomiędzy dworzanami na pokojach obecnymi był także i Clotomont, który pośpieszył natychmiast do Mondora, z niepomyślną nowiną. Jeszcze go zastał w łóżku, jako wolnego w dniu tym od służby dworskiej, a potrzebującego wczasu po wczorajszej zabawie.

Ty śpisz Mondorze? — zawołał wchodząc, — nieprzyjaciel zwycięzko na twoim gruncie postępuje.

— Co? zapytał, zrywając się Mondor, — czy książę...

— To nie książę, to prosty szlachcic — odpowiedział Clotomont, — ale tak niebezpieczny, jak tylko być można.

— Któż taki? — rzekł nieco spokojniej Mondor.

— A ja nie wiem jak się nazywa, ale się domyślam, że to musi być ten jakiś narzeczony twojej kochanki, o którym mi dawniej mówiłeś, wystawiając mi go jako starego wojaka, żadnych nie mającego powabów i jako osobę mało znaczącą, a którego ja wcale innym znalazłem jak ty mniemałeś.

— Mniejsza o to — odpowiedział ziewając Mondor, — dla tego nie warto było przerywać mego spoczynku; czyto on przybył! czy się widział z królem? —

— Byłem właśnie w tedy w przedpokoju królewskim, kiedy przybył człowiek dorodny, pięknej postawy mężczyzna, którego postać śmiała i szlachetna pewne poważanie wzbudza i kobietom podobać się może. Poznałem go po tem, że wspomniał nazwisko Modrzejowskiej, gdy król do niego przemówił. A co najgorsza, że wielkie ma widać łaski u monarchy, bo z nim samym tylko mówił, i jutro mu pomyślną odpowiedź dać obiecał.

Na to dopiero zerwał się z posłania Mondor i wypytywał się z niespokojnością o wszystkie szczegóły przyjęcia Ruszczyca, a poznawszy grożące niebezpieczeństwo prosił Clotomonta o dobrą radę. Trudna była ta rada, bo czas krótki do działania pozostawał; nie można było wprost użyć posrednictwa ojca królowej, bo ten nie był tak łatwo przystępny, a trzeba było koniecznie znaleźć kogoś, ktoby mógł nakłonić królową do zniweczenia przychylnych chęci króla dla Ruszczyca.

(Dalszy ciąg nastąpi.)

RÓŻA Z TANENBERGU.

POWIEŚĆ STAROŻYTNA

PRZEZ

X. KANONIKA SZMIDTA.

(Ciąg dalszy.)

ROZDZIAŁ XIII.

Róża słucha napomnień ojca swego.



W czasie gdy Edelbert czerpał w pięknej duszy swej córki pociechę, a ona wzajem w zadowolonej twarzy ojca swego szczęśliwość, w Fychtenbergu zaszło wiele i bardzo smutnych zmian. Zamek Kunerycha, który dotąd był siedliskiem szumnych rozkoszy, stał się miejscem smutku i narzekania. Nieszczęście zawitało i tam, choć to w miejsce obronne, choć przez wały, mury i mosty nieprzystępne. Wiadomości niepomyślne coraz nowe i coraz gorsze przybywały z teatru wojny, którą Kunerych chciwy łupów, dumnie rozpoczął przeciw potężniejszemu od siebie rycerzowi. Kunerych został znacznie ranionym i leżał chory w daleko bardzo oddalonym zamku. Stracił w niepomyślnej potyczce wszystkie pakunki, a tak ten co kiedyś zwykł był łupy zdarte z nieprzyjaciół przesyłać do Fychtenberga, żądał jeszcze ztamtąd wsparcia w pieniądzach, w żywności i wojennych rynsztunkach. Żona jego byłaby chętnie odwiedziła męża, żeby choremu służyć, ale niepodobna było wychylić się za mury zamkowe, wszędzie czychali nieprzyjaciele, bo ich Kunerych miał mnóstwo, a jego surowość trzymała ich tylko na wodzy; teraz gdy go znali upokorzonym, poczęli mściwe swe głowy podnosić. Już kilka razy posłane zasoby zabrali, rozbiwszy konwojujące wojsko. W takiem więc położeniu nie mogła się udać żona do męża; w zamku zaś wskutek kilkakrotnych strat, dał się czuć niedostatek. Bieda, mówią, nie chodzi pojedyńczo; tak było w Fychtenbergu. Dzieci dostały ospy, leżały dręczone tą chorobą niebezpiecznie, a nareszcie i matka zmartwiona niepomyślnością męża i chorobą dzieci, sama zachorowała.

O tem wszystkiem dowiedziała się Róża od swojej pani, bo sama bardzo rzadko i to tylko z konieczności z wielką niechęcią bywała na zamku, bo gdy spostrzegła tego zaciętego nieprzyjaciela swego ojca, uczuła ból jak gdyby ją kto nożem pchnął, i była opanowana nienawiścią ku Kunerychowi, jego żonie i dzieciom nawet. Dowiedziawszy się przeto o tegoczesnem nieszczęściu nieprzyjaciół, opowiedziała ojcu to wszystko z niejakąś radością.

— Niechże — mówiła — wiedzą z doświadczenia, co to jest bieda, niechże się ich pycha upokorzy. Żona tego rycerza co dotąd żyła w przepychu, do zbytku swe ubierała dzieci, odbierała odwiedziny, dobrze że teraz też posiedzi jak w więzieniu, że zaznajomi się ze łzami. A pyszny rycerz dowie się, że: jaką miarką pożyczają, taką też Bóg odpłaca.

Ojciec słysząc córkę tak mówiącą, odrzekł:

— Różo! ciebież ja to słyszę? Ty tak zresztą tchnąca łagodnością, szpecisz twarz twoją złośliwym uśmiechem z cudzej biedy! O lube dziecię, taki uśmiech nie zdobi chrześcianina! niech zemsta nie kazi twej duszy! Prawda, że Kunerych postąpił sobie z nami bardzo okrutnie, nienawidzi nas bez najmniejszego powodu; ale czyż ci to niewiadomo jak postępował Zbawiciel nasz i jak kazał postępować względem nieprzyjaciół? Wszakże ci wiadomo, że mówił: „Czyńcie dobrze tym, co was nienawidzą, módlcie się za tych, co was prześladują. Rozważ sobie tylko, że żona Kunerycha cierpi niemylnie wiele przez grubiaństwo męża, dzieci ich najmniej ci w drogę weszły, a ty cieszysz się, że im źle idzie? Różo, niechże miłość ku twemu ojcu nie zaślepia cię tak dalece, iżbyś nienawidziła nieprzyjaciół jego. A wszakci nie widziałaś we mnie żadnej nienawiści ku niemu; owszem, wierz mi, że gdybym go widział w niebezpieczeństwie życia, własnem zdrowiem i życiem starałbym się go ocalić. Ty sama będąc w szczęściu, czybyś miała tyle serca, żebyś żonę Kunerycha z dziećmi, będących w biedzie i żebrzących u drzwi twoich wsparcia, nielitościwie odpędziła?

— Nie ojcze, tegobym nie uczyniła; toby było wielkiem okrucieństwem, szkaradną zemstą. Przeciwnie dzieliłabym się z nimi wszystkiem.

— Uzasadniony na twojem teraźniejszem postępowaniu, powinienbym wątpić o tem. Pod ten czas odmawiasz im tego, co tak mało zdaje się znaczyć, tj. przyjaznego spojrzenia i łagodnego słowa, o możnaż się spodziewać żebyś im coś znakomitego uczyniła? Unikasz teraz wszelkiej sposobności żeby im jakąś przysługę wyświadczyć, a jakże się tego można spodziewać, gdybyś znalazła kiedyś sposobność służenia im w potrzebie? Odmień twój teraźniejszy sposób myślenia i postępowania, bądź dla nich ludzką jak być powinnaś.

— Ja ci radzę, a ludzką roztropnością powodowany nie dla tego mówię, żeby ich przez taki postępek sobie zyskać i skłonić do zwrócenia nam zagrabionego majątku. Nie żebyśmy tylko dla zysku doczesnego mieli im okazywać przychylność, nie miałby nasz postępek żadnej wartości, owszem byłby podłą obłudą, jaką się brzydzić należy.

— Nie, moja kochana córko, miłość bliźnich to błogie drzewo z nieba na ten świat przesadzone, żeby swym owocem pokrzepiało stękających pod ciężarem życia teraźniejszego, nie może wyrastać z brudnego pnia samolubstwa; ona tylko w sercu czystem i wolnem od samolubstwa wzrastać i krzewić się może. Prawo miłości jest odblaskiem tej miłości nieba, która w istotę naszej świętej religii wpływa i każde pobożne serce zapełnia; bez niej próżno się poszczycamy religijnością.

— Bóg jest miłością; miłuje On ludzi jak własne dzieci, nawet tym co się odrodzili, czyni dobrze; przyświeca słońcem i użyznia deszczem, bo chce ich swoją dobrocią pociągnąć ku sobie. Syn Jego wydał siebie na śmierć, ażeby zbawić i tych nawet co mu byli nieprzyjaznymi. Tak to i my powinniśmy tchnąć czystą miłością dla bliźnich, choćby nam byli nieprzyjaznymi; czerpać albowiem powinniśmy wzór miłości i siły do wykonania onej w wielkiem owem źródle, jakiem jest sam Bóg, i napróżno byśmy się poszczycali miłością Boga, gdybyśmy tak jak On, nie miłowali naszych bliźnich bez wszelkiej różnicy.

— Tylko ta miłość Boga i bliźnich uzdatnia nas do nieba; dusza próżna miłości nie mogłaby być nawet w niebie szczęśliwą i dla tego to jest naszem zadaniem na tej ziemi tę cnotę niebian w sercu naszem pielęgnować i do doskonałości doprowadzić. Jeżeli w istocie ma ten piękny kwiat miejsce przyzwoite w naszem sercu, natenczas miłość wyniszcza rzeczy ceny nie mających, to jest: miłość próżnej sławy, zmyślonych pożądliwości znikomych dóbr. A jeżeli Bóg widzi, że nas jeszcze brudzi pycha, samolubstwo, chciwość, natenczas zsyła cierpienia, żeby nas oczyścić i dla tego to pewnie odebrał nam Bóg doczesne nasze mienie, przypuścił na nas biedę, bo nasze serce nie było jeszcze tak czyste jak On chce je mieć. Uznajmy moja córko łaskawe zamiary Boga względem nas, nie sprzeciwiajmy się im nienawiścią naszych nieprzyjaciół, owszem usiłujmy być godnymi błogosławieństwa, jakie nam przez nich gotuje.

Róża słuchała ojca z natężoną uwagą, a gdy skończył, rzekła:

— Ojcze kochany, uznaję że masz słuszność, ja byłam dotąd w wielkim błędzie, niegodną nieba, ale odtąd poprawię moje zbłąkanie. Będę miłowała i nieprzyjaciół; Kunerycha, żonę jego i dzieci, tak jak gdyby mi nic złego nie wyrzą-

dzili; a jeśli potrzeba dla mojej poprawy cierpieć, chętnie się poddam temu co Bóg na mnie przyśle, bo cóż są tego życia cierpienia względem wieczności?

W rzeczy samej Róża dotrzymała słowa. Nie unikała dzieci Kunerycha, owszem zbliżała się ku nim, rozmawiała z nimi i niejedną zabawkę im nastręczyła. Niezadługo nadarzyła się jej sposobność wykonania ojcowskiej nauki w całej obszerności, w stopniu bardzo wzniosłym.

ROZDZIAŁ XIV.

Odwaga Róży.

W pośrodku obszernego podwórza zamku Fychtenberskiego, znajdowała się studnia, którą słusznie można było policzyć do osobliwości tamecznych. Była ciosanym kamieniem aż do dna wyłożona i nad ziemię takowym obwiedziona; sześć pięknych kolumn kamiennych dźwigało pokrycie w kształcie wieży wznoszące się, powabne pod oko podpadające. Studnia ta była nadzwyczajnej głębokości; kwadrans czasu potrzeba było, zanim się wiadro za pomocą koła spuściło do wody i takowe do góry wciągnęło. Pielgrzymi podziwiali to dzieło, i ażeby im dać wyobrażenie o głębokości, spuszczano kamyczki; długo trzeba było czekać zanim takowy odezwał się swym spadkiem we wodę. Stara powieść głosiła, że nim ta studnia została pokrytą, robotnicy czyszczeniem zatrudnieni na jej dnie wśród południa gwiazdy widzieć mogli na firmamencie, jak gdyby w jasnej zimowej nocy. Na potrzebę naprawki lub czyszczenia były w murze powprawiane żelazne haki, na które osadzono wiele drabin, żeby po tych spuścić się można aż do dna. Ta studnia obwiedzioną była w koło murawą, którą otaczały piękne jarzębiny.

Po kilkotygodniowym plusku, kiedy wrześniowe słońce powabnie zajaśniało i właśnie wynagradzając poprzednich dni posępność, zebrało wszystkie swe powaby, aby usuwając się zostawić upominek mieszkańcom; tłumem wyszli ludzie w pola, aby zebrać resztę darów Bożych. Wyszła z zamku i Tekla służebna z dziećmi pańskiemi: Eberhardem, Idą i Emą, żeby użyć świeżego powietrza i nabrać sił po przebytej chorobie, bawiąc się w zamkowem podwórzu. Gdy panienkom służebna nadziewała jagody z jarzębiny zerwane na nić i zdobiła ich szyje i ręce jakby koralami, Eberhard tymczasem bawił się rzucaniem kamyków do studni. Gdy się tem zatrudnieniem nareszcie znudził, odbiegł od studni i siadł na murawie. Właśnie oto wtenczas przyleciała piękna ptaszyna i siadła na brzegu wiadra w studni, aby zagasić swe pragnienie wodą zwykle na dnie wiadra studziennego pozostającą. Pośpiewawszy i poskakawszy na brzegach wiadra, spuściła się w nie. To właśnie spostrzegł Eberhard i pomyślał sobie: „Otóż cię mam ptaszku! — poskoczył do studni, kiedy służebna najmniej się spodziewała, wlazł na mur obwodzący studnię, wyciągnął rękę żeby uchwycić wiadro, stracił przez to równowagę i wpadł do studni.

Dzieci spostrzegłszy co się stało, poczęły nieznośnie płakać i narzekać. Tekla przyskoczywszy do studni usłyszała krzyk Eberharda i wnosi, iż się zapewne zawiesił na jednym z haków wewnątrz studni wmurowanych, woła o ratunek, ale że właśnie domownicy byli zatrudnieni w polu, nikt jej nie przybywa na pomoc, przerażona trwogą, nie wie co czynić. W tem wybiega Róża, a dowiedziawszy się co zaszło, rzecze do Tekli:

— Spiesznie pomóż mi wleźć we wiadro i wolno mnie wpuszczać będziesz do studni; jak zawołam, to wstrzymasz. Ja myślę, że nam Pan Bóg dopomoże chłopca ocalić.

Poleciła siebie i swoje przedsięwzięcie Bogu, wlazła przy pomocy Tekli w wiadro, i poczęła się wolniutko spuszczać w studnię. Zimny dreszcz ją przejmował, powietrze studzienne mroziło ją, ciemność nocy ogarnęła ją, niebezpieczeństwo, w jakiem się być widziała, przerażało; ale nie tracąc w Bogu nadziei, coraz głębiej się spuszczała, aż doszła do miejsca, na którem zawisło chłopię i zawołała, ażeby wiadro zatrzymać. Ale tu sęk, jak chłopca zdjąć z haka? Jedną ręką musiała się trzymać łańcucha, żeby nie spadła w przepaść, drugą zaś próbuję czy się nie uda odwadzić. Ale gdzie tam, zawisł mocno na haku, a ona nie miała tyle siły w jednej ręce, żeby go dźwignąć. Uważa zatem, że siebie i dziecię może zgubić; ta uwaga wycisnęła zimny pot z Róży. Znając to dobrze, że Bóg tylko może jej pomódz swą wszechmocnością, czułe do Niego posłała modły i wzięła się zno-

wu do pracy. Przysunęła się więc do dziecka, nakazała mu uchwycić siebie silnie za szyję, sama chwyciła lewą ręką łańcuch, a prawą odhaczała ubiór na haku zawisły, zawoławszy: Cokolwiek w górę, ale bardzo wolno!

Wiadro się uniosło, suknie można było odhaczyć, a to spostrzegłszy, zawołała z głębi radośnie:

— Teraz pójdzie, ciągnij wiadro w górę, ale zawsze równo bez wstrząśnięcia.

Tekla ochłodła z bojaźni, gdy ujrzała ciężar wydobywający się ze studni, który kołem z wielką ostrożnością dobywała.

Matka wskutek odebranych smutnych wiadomości z wyprawy męża, chorobą złożona, na krzyk w podwórzu wstała i przybliżyła się do okna na podwórze wychodzącego. Powzięła od córek swych wiadomość, że syn wpadł w studnię, właśnie jak piorun uderzył w nią; uchwyciła się kraty w oknie będącej i właśnie na pół żywa, słyszy głos Tekli, że Eberhard zawisł na haku w studni i służebna dozorczyni spuściła się w studnię, żeby go oswobodzić. To ją trochę oprzytomniło, nadzieja w Bogu orzeźwiła ją, oka od studni nie odwraca, aż nareszcie widzi Różę, a do niej przyczepionego swego syna. Skoro wiadro już dosyć nad obmurowanie studzienne wzniesione było, umocowała Teresa łańcuch należycie, żeby od niej odebrać ten drogi ciężar. Ale cała drżąca nie miała tyle sił, żeby jedną ręką przytrzymać wiadro, a drugą ręką Róży odebrać dziecię. Po próżnem kuszeniu się, które stojącej w oknie matce było torturą, przekonały się, że w ten sposób nie



pójdzie. Róża chciała Tekli podać dziecię, kazała jej stanąć przy murze, wyciągnąć ręce obie ale spostrzegła, że i tak udać się nie może, bo Tekla nie zdołała jej sięgnąć dostatecznie rękoma. I cóż tu robić bez żadnej pomocy? Znowu serdecznie westchnęła do Boga, a potem rzekła do Tekli:

— Weź do ręki ten co tam oto leży drążek, szturnij nim lekko wiadro, żeby się rozbujało. Gdy się rozbuja i zbliży ku tobie, podam ci chłopaka, ty go uchwyć zgrabnie, ale nie prędzej, aż ci powiem. Sprobujmy, może się uda.

Tekla wykonała ten rozkaz, popchnęła wiadro drążkiem, wiadro poczęło się bujać; ona rzuciwszy drążek, stanęła przy odwiedzeniu studni, wyciągnęła obie ręce, a Róża gdy widziała, że się można odważyć, chwyciła mocno chłopca pod pachę i podała Tekli. W ten sposób został wyprowadzony całkowicie z niebezpieczeństwa Eberhard. Postawiwszy go bezpiecznie na ziemi, podaje rękę Róży, żeby ją wyswobodzić, ale ta widzi, że się tak rzecz udać nie może, rzecze przeto:

— Raczej użyj znowu drążka i popchnij mnie z wiadrem do którego z filarów, może się uda pochwycić takowy, i tak wydobyć się z tego więzienia.

Tekla bujnęła więc za pomocą drążka cebrem ku jednemu z filarów, Róża pochwyciła go oburącz, stanęła na murze studziennym i lekko skoczyła na ziemię, przebywszy wszystkie poprzednie niebezpieczeństwa. Najpierwszą jej czynnością było paść na kolana i najczulej Bogu podziękować, że raczył ją potężną swą mocą ocalić. Druga myśl była: o jakże się będzie cieszył ojciec gdy się dowie, że nauka jego taki wydała owoc!

Nie bawiąc, pobiegła do ojca i opowiedziała mu to zdarzenie. Ten wysłuchawszy ją, przycisnął do serca swego, skropił łzami radości i odrzekł:

— Drogie mi dziecię! Tyś się szlachetnie przezwyciężyła, uczyniłaś z siebie wielką ofiarę dla nieprzyjaciół twoich. O! ty wykonałaś zaprawdę waleczniejszy czyn, jak wykonać może najmężniejszy rycerz, który powali zaciętego nieprzyjaciela, boś ty przezwyciężyła siebie samą, boś życie ludzkie uratowała. Dla tego przecież kochana Różo, nie bądź dumną. Bóg jest ten, który ci dodał odwagi i wspierał cię, Jemu też samemu należy się za to cześć i chwała.

(Dalszy ciąg nastąpi).

GAWĘDZIARZ.

ZDRADZIECKI SŁUGA.

Za dawnych czasów był pewien bardzo bogaty i dobry pan prawdziwy dobroczyńca ludzkości. Kto u niego szukał pomocy, zawsze znalazł posłuchanie. Największej doznawał on rozkoszy, aby mógł biednych i nieszczęśliwych ratować. Nie miał potomka, dla któregoby zbierał bogactwa; dla tego wszystkie pieniądze swoje na dobre uczynki obracał. Takim to dobrym uczynkiem, i to nie ostatnim, była własnym kosztem wykonywana budowa pięknego i drogiego, a zarazem mocnego mostu przez szeroką rzekę, niedaleko zamku bystrym nurtem płynącą. Budowa ta cieszyła go; często więc chodził ją oglądać i robotników do pilności zachęcał. Gdy most był ukończony, wysłał jednego z sług swoich, żeby posłuchal i jemu doniósł co też podróżni o nim sądzą.

Sługa stanął na moście i słuchał rozprawy przechodzących. Niektórzy nazywali pana głupcem, że tyle pieniędzy na rzecz wydał, która jemu samemu żadnej korzyści nie przyniesie; większa jednak część uwielbiała go, że budową mostu całej okolicy tak wielkie wyświadczył dobrodziejstwo. Nareszcie przechodziło dwóch poważnych starców z długiemi siwemi brodami, w szatach pielgrzymich. Z tych rzekł jeden:

— Co to za mąż szlachetny być musi, który tak znaczną część majątku poświęcił na wyświadczenie przysługi bliźnim swoim!

— Zaiste — rzekł drugi — założyciel tego mostu wart za swe dzieło wielkiej nagrody!

— Jakżejbyśmy go też w miarę zasługi wynagrodzić mogli? — zapytał pierwszy.

— Niech mu żona jego porodzi syna, któremu wszystkie mocarstwa będą podległe, i którego wszystkie życzenia spełnić się mają! — odrzekł drugi.

I tak mówiąc, przeszli sobie dalej.

Sługa, który rozmowę tych dwóch ludzi słyszał, zadziwił się nie mało, a mając złe serce, przemyśliwać zaraz począł, jakby z tego co słyszał, mógł ze szkodą pana swego mieć korzyść. Gdy przyszedł do domu, zdał swemu panu sprawę z rozmaitych zdań ze strony podróżnych; co do pielgrzymów zaś dopuścił się bezecnego kłamstwa: powiedział bowiem, że ci dwaj sędziwi starcy żałowali, że tak szlachetnego dobroczyńcę ludzkości tak niesłychane nieszczęście ma dotknąć, gdyż żona jego ma porodzić syna, którego zaraz po urodzeniu zabije i zje.

Dobry pan nadzwyczajnie się tem zasmucił i nie okazywał żadnej radości, gdy mu nadobna jego żona oświadczyła, że ma w Bogu nadzieję, że ich życzenia się spełnią, i że Bóg im da potomka.

Piękna pani rzeczywiście porodziła syna, a lubo ojciec się radował, nieszczęsne jednak proroctwo wesołość jego ćmiło. Skoro jedna cześć proroctwa narodzeniem syna się spełniła, więc należało mu się spodziewać, że i druga się ziści. Tymczasem zdradziecki sługa czyhał na sposobność dokonania swego niecnego postanowienia. Upatrzywszy jednego dnia dogodną porę, wkradł się wieczorem do komnaty pani, wiedząc, że już mocno śpi. Tu wziął dziecię obok matki w kolebce leżące i zaniósł je do swej żony, której na ulicy czekać na siebie rozkazał. Potem wrócił, a złapawszy w podwórzu koguta, uciął mu nożem głowę, pomazał krwią jego próżną kolebkę i łóżko matki, a nóż włożył w kolebkę. Uskuteczniwszy to, pośpieszył do swej żony i oboje puścili się z kradzionem dzieckiem w daleki świat.

Z rana wszedł pan do komnaty żony, która jeszcze spała i widzac ze zgrozą próżną kolebkę i ślady krwi mniemanego okropnego czynu, myślał, że druga część nieszczęsnej przepowiedni

się ziściła. Szalejąc z boleści, miał żonę swą za winną — i jeszcze śpiącą przebił mieczem, tak, że tej chwili skonała. Po dokonaniu czynu tego, krew jego ostygła; począł wszystko rozważać i uczuł żal w sercu, bo żonę swoję bardzo kochał i bez niej żadne już teraz szczęście nie uśmiechało mu się na ziemi.

Gdy tak opłakiwał los swój, opanowała go rozpacz tak dalece, że jak błędny uszedł ze zamku i nic już o nim nie słyszano.

Gdy słudzy panią znaleźli nieżywą, a pan ich zniknął, pozabierali wszystko ze zamku i rozproszyli się. Zamek opustoszał i stał się z czasem ruiną.

Tymczasem niewierny sługa z swą żoną zanieśli skradzione dziecko w dalekie kraje, a gdy dorastało i powoli do rozumu przychodziło, potrafił mniemany ojciec chłopca naprowadzić a nawet i zmusić, że sobie tego lub owego życzył, co się też zawsze ziszczało. Tak zbierał zdrajca ogromne bogactwa i żył w dostatkach i świetności: żona zaś jego, która o tajemnicy nie wiedziała, nie mogła się wydziwić, zkąd jej mąż to wszystko bierze i często nalegała na niego, by jej to odkrył. On długo się wzbraniał, aż wreszcie prośbom jej dłużej oprzeć się nie mógł i wszystko jej wyjawił.

(Dokończenie nastąpi.)

Anioł Pański.

POWIEŚĆ OBYCZAJOWA

— PRZEZ —

BAKAŁARZA Z LWIGRODU.

(Ciąg dalszy.)

Na te słowa księdza Wojciecha ojciec i matka posmutnieli, bo pomyśleli, że trzeba im będzie się rozstać z drogiem, ukochanem dzieckiem; ale wreszcie znając księdza Wojciecha i wiedząc że tylko ich dobra pragnie, choć z bólem serca, zgodzili się na radę jego, a Stefan odrzekł:

— Widzę ja to, że syna ciągle w domu trzymać nie mogę, anim nie powinien, bobym mu zagrodził dalszy jego los. Niech więc idzie w świat, niech go pozna. Staraliśmy się go tak wychować, jak Bóg przykazał; z pomocą waszą, wielebny ojcze Wojciechu, i pana nauczyciela, staraliśmy się wpoić głęboko w sercu jego zasady świętej naszej katolickiej religii, zaszczepić w nim miłość dawnych naszych staropolskich obyczajów, a szczególniej zamiłowanie do naszej pięknej mowy polskiej; nauczyliśmy go czcić i szanować przeszłość naszę, a wierzyć w przyszłość. Myślę że świat, w który go teraz poślemy, nie zepsuje go, i że potrafi skutecznie odpierać wszelkie pokusy, nowości i obczyzny. W imię Boże niech idzie za waszą radą.

— Ma on już siedmnasty rok, jest zdrów, silny, praca nie będzie mu trudną, on i my będziemy musieli na chwilę się posmucić, bo i którzy rodzice chętnie puściliby od siebie takiego syna? Lecz niech tak będzie, jak dla niego dobrze. Może Bóg wszechmocny dozwoli, że go kiedyś zobaczę tęgim rzemieślnikiem, i że razem z moją Zofią na stare lata nasze bezpie-

czny i spokojny u niego znajdziemy przytułek.

Tak mówił ojciec. Ale matka!... Matka biedna łzami zalane miała oczy. Serce jej ścisnęło się na wspomnienie o rozłączeniu się z Kazimierzem.

Wyjąknęła tylko to zapytanie:

— Kiedyż to nas ma opuścić?

Widząc ten smutek ksiądz Wojciech, zrozumiał, co serce matczyne cierpiało i rzekł:

— No, no, wiem ja że matce ciężko rozłączyć się z synem, ale ot, jam stary jak grzyb, a mam nadzieję w Bogu, że mu jeszcze za waszem błogosławieństwem ślub będę dawał. Ot, co tam płakać! radujcie się, że z Kazimierza dobry chłopiec, i że da Bóg stanie się jeszcze lepszym. Zresztą nie odjedzie on tak zaraz, poczekamy jeszcze z pół roku; on tymczasem pokończy potrzebne nauki, ja się w Warszawie rozpytam o porządne dla niego miejsce, wy przygotujecie mu trochę bielizny, odzieży i czego tam jeszcze będzie potrzeba... a potem w Imię Boga i Maryi dalej w drogę do roboty! będzie to wszystko dobrze.

Ucałowali wszyscy ręce czcigodnego starca, pożegnali nauczyciela, odprowadzili ich za fórtkę, i wrócili sami do domu.

IV.

Wyprawa do Warszawy.

Po tym dniu pamiętnym w domu Stefana zaszły pewne zmiany.

Kazimierz wiedząc, że wkrótce ma opuścić dom rodzicielski i udać się do Warszawy, by rozpocząć nową dla siebie naukę tokarstwa, w dwójnasób natężał uwagę i przykładał pilności do ukończenia nauk udzielanych mu przez nauczyciela. Prócz tego kupił mu ojciec książkę o tokarstwie z opisem pewnych narzędzi do tego rzemiosła potrzebnych. Nad temi książkami przesiadywał Kazimierz godzinami, uczył się ich i znał prawie już wszystko, co tokarz wiedzieć powinien. Brak mu tylko było wprawy i ćwiczenia, czego wszystkiego miał się w Warszawie douczyć.

Tymczasem Stefan, o ile mu gospodarstwo i domowe zatrudnienia dozwalały, odwiedzał księdza Wojciecha i nauczyciela, zasięgając ich rady, coby jeszcze wypadło uczynić. I tak będąc właśnie razu jednego u księdza proboszcza, z radością dowiedział się od niego, że właśnie odebrał wiadomość z Warszawy, iż pewien godny a w swoim rzemiośle bardzo biegły majster tameczny, pan Karol, chętnie przyjmie Kazimierza w naukę.

Stefan natychmiast pospieszył z tą wiadomością do domu. Uspokoiła się tem nieco biedna matka, wiedząc teraz, że jej Kazio w dobre będzie oddany ręce. Odtąd wraz z Jadwigą siadały po całych dniach, to szyjąc bieliznę, to robiąc szkarpetki na wyprawę dla Kazia, przy czem czasem obie popłakały i pocieszyły się nawzajem.

A kiedy Kazimierz przychodził do domu, natenczas matka czule go uściskawszy, starała się go przygotować do wyjścia w świat, wpajając w niego przywiązanie do wiary świętej i zamiłowanie wszelkich cnót, przedstawiając mu za przykład dawną naszych przodków czystość obyczajów, a szczególniej poczciwość własnego ojca, który i młodość przykładnie i świątobliwie spędził, i w późniejszem życiu nigdy nic takiego nie uczynił, coby go łaski Bozkiej pozbawić i w oczach ludzi niesławą okryć mogło; który wiernie trzymając się obyczajów ojczystych, nigdy żadnej obczyzny nie przyjął, nigdy na żadne bezdroża nie zboczył.

Słuchał przestróg tych Kazimierz z uwagą i nabożeństwem, a wysłuchawszy, czule matce dziękował i uspokajał ją zaręczeniem, że starać się będzie wyrównać we wszystkiem swemu ojcu.

Stefan znów ze swej strony zawołał krawca i kazał dla Kazimierza zrobić nowy żupanik, czamarkę i inną potrzebną odzież; kupił mu też czapkę z obszyciem bobrowem. I tak każde z swojej strony przygotowało co mogło na wyprawę.

Nareszcie nadszedł dzień, w którym Kazimierz miał odjeżdżać z ojcem do Warszawy. Wóz był już przygotowany, konie jeszcze dogryzały wieczornego obroku, matka i Jadwisia wcisnęły każda po placuszku w torbę, Tadeuszek całą swoją kromkę chleba z masłem, którą był dostał na podwieczorek, także do torby Kazimierzowej wsunął: kiedy w tem otwierają się

drzwi i wchodzi ksiądz Wojciech z nauczycielem.

Ksiądz Wojciech wszedłszy do izby i pochwaliwszy Pana Boga, obejrzał się naokoło i wesoło rzekł:

— Ho! ho! to tu widzę ledwie żeśmy za późno nie przyszli! To już wszystko przygotowane? Oto chciałem Kazimierzowi dać list do mego znajomego pana Andrzeja; niech go odwiedzi, a znajdzie u niego dobrą radę i przyjemną rozrywkę. Oto list!

A nauczyciel rzekł:

— I ja daję ci tutaj list do mego przyjaciela dawnego, a teraźniejszego profesora przy szkole rzemieślniczej, pana Ignacego; będziesz u niego dobrze przyjętym, będziesz mógł uczęszczać na jego wykłady, i tam niemało dla siebie korzystać.

Podziękował Kazimierz, podziękowali rodzice za taką życzliwość i szczerą opiekę nad ich synem.

Wreszcie rzekł do Kazimierza ksiądz Wojciech:

— Drogi mój Kazimierzu! Do Warszawy ztąd wprawdzie niedaleko, ale Warszawa wielkie miasto, są tam dobrzy ludzie i źli; z dobrymi się łącz a złych unikaj. Jednakże złych ludzi nie zawsze możesz poznać. W niepewności więc, czy co dobrego ci radzą, czy też do złego kuszą, pytaj się samego siebie: Czy uczyniłbym z czystem sumieniem to, czego po mnie żądają? Czy pochwaliliby mnie za to rodzice? — a wnet rozeznasz potem złe od dobrego. Miej do rodziców zaufanie bez granic! Cokolwiek cię tam spotka, czegobyś sam nie umiał rozsądzić, zwierz nam się z tego otwarcie jak dotąd bywało, a wszystko będzie dobrze. Bóg, Ojczyzna, rodzice i własne sumienie niech tobą zawsze kierują!

I dodał:

— Ależ oto widzę, już konie zaprzągają; jabym myślał, — ot księżyc pięknie wschodzi, niech wóz z parobkiem najprzód jedzie, a my wszyscy, jak tu jesteśmy, odprowadzimy naszego młodego tokarza aż do figury świętego Antoniego. Czy zgoda?

Naturalnie wszyscy się na to zgodzili, a najbardziej matka i Jadwiga z tego się ucieszyły, że choć chwilkę dłużej razem z Kazimierzem przebywać będą.

Wdział więc Stefan sukmanę, ubrał się Tadeuszek i Jadwiga, i czekali już tylko na matkę, która z Kazimierzem wyszła była do przyległej izby.

Otwierają drzwi, patrzą, a oto w tej izbie matka ucałowawszy syna, tak do niego przemawia:

— Mój synu drogi! Nie daję ci na drogę ani srebra, ani złota, bo to rzecz błaha i światowa; nie daję ci dostatków, bo te są znikome, ale daję ci moje błogosławieństwo i ot ten obrazek poświęcony Matki Bozkiej Częstochowskiej, naszej Królowej i Opiekunki. Noś go zawsze na piersiach, a módl się szczerze do Niej, polecaj się Jej opiece! Jak niegdyś klasztor Częstochowski, a potem całą naszę Ojczyznę od wrogów uwolniła i ich wytępila, tak niech i od ciebie wszelkiego wroga odgania, broni od wszelkiej szkody twego ciała jako i duszy!

— Amen! — rzekł patrzący na to ksiądz Wojciech i otarł sobie łzę cisnącą mu się do oczu.

I Stefan patrząc jak matka syna swego żegna i wyprawia, odwrócił się, bo nie mógł powstrzymać łez, które obfitym potokiem po licach jego spływały.

Ruszył wóz przodem, a wszyscy poszli wolno za nim.

Słońce co tylko było zaszło; księżyc blady nieśmiało wysunął się na pogodne tło niebios, drobne gwiazdeczki nieliczne jeszcze migotały wesoło, jakby oczkami mrugając z wysokości ku naszym podróżnym. Wisła spokojnie i wspaniale, jakby ogromna wstęga srebrna, wiła się przez żyzne pola i łąki, śpiew ptasząt ucichł, tylko słowik gdzieś w gęstym zaroślu nucił żałosną i tęskną swą piosenkę. Cisza głęboka zaległa w całej okolicy, a piękność i wspaniałość natury wszystkich umysły skłania do dumania.

Tak zamyśleni szli nasi podróżni. Idąc główną ulicą, gdzie Kazimierz po drodze z niejednym towarzyszem czule się uścisnął na pożegnanie, od niejednego znajomego odebrał życzenie szczęśliwej podróży, wyszli za miasto. Gościniec bity i szeroki, prosty jakby pod sznur wyciągnięty, białawy ginął w odległości; szerokie błonia po obu stronach wionęły zapachem różnych ziół.

Wóz, który był naprzód wyruszył, widać było już niedaleko figury. Zaszlochała biedna matka, wtórowała jej głośno Jadwisia, a biedny Tadeuszek, trzymając brata za rękę, jakby go

puścić nie chciał, ocierał sobie wciąż oczki zapłakane. Stefan ściskał usta, i wstrzymał się jak mógł, by własnem rozczuleniem synowi i matce żalu nie przysparzać.

Już, już nadchodziła chwila rozłączenia; gdy wtem rozległ się głos dzwonka z kościółka. Miły, srebrny, drżący jego dźwięk zabrzmiał po błoniach, po Wiśle, a zdawał się sięgać nawet aż do niebios!

— Było to na Aniół Pański.

Nasi podróżni podług dawnego katolickiego zwyczaju odkryli głowy, przeżegnali się, a ksiądz Wojciech głośno zaczął: „Aniół Pański", całe zaś towarzystwo za nim pozdrawiało Królową Niebios i ziemi.

Wzlatywała modlitwa do Boga, a ten Ojciec najdobrotliwszy pokrzepił zasmucone serca.

Skończywszy modlitwę rzekł ksiądz Wojciech:

— „Dobry to znak, kiedy nas modlitwa spotyka na drodze!"

A zwróciwszy się do Kazimierza dodał:

— Pamiętaj, kochany Kazimierzu, o tej wspólnej modlitwie naszej pożegnalnej. Nie wstydź się nigdy jawnie jej odmawiać i odkrywać głowy na odgłos dzwonu kościelnego. Ona zachęci cię do pracy, ona pokrzepi strudzone twe ciało, ona posili ducha smutkiem znękanego. Módl się zawsze gorąco do Najświętszej Panny, a Jej Opieka cudowna zachowa cię od wszelkiego nieszczęścia. Jedźże z Bogiem, Pan Bóg niech będzie z tobą!

Jakby cudownie pokrzepieni z mniejszem żalem a z większą ufnością w Bogu wszyscy pożegnali Kazimierza. Uściskał Stefan swoich, wsiadł na wóz, a przeżegnawszy się ruszył z Kazimierzem ku Warszawie.

V.

Warszawa.

Warszawa! — .... Na to imię serce każdego z nas żywiej uderza, tysiączne wspomnienia, wesołe i smutne, każdego nasuwają się duszy. Jedni przypominają sobie czasy Warszawy dawnej, świetnej i królewskiej, bogatej a swobodnej; inni widzą w swej duszy obraz Warszawy nowszej, ponurej i smutnej. Warszawa, to jakby królowa piękna, wspaniała, potężna; jakby źródło, z którego się rozpływa na kraj cały woda zdrowa i posilająca.

Lecz tę królową piękną niejedna zła dola zasmuciła, niejedna rana krwią oblała, niejedna strata żałobą okryła; a tę wodę źródlaną jedni wstrzymali. Warszawa, ta dawna, rozkoszna, wspaniała stolica królów polskich, dziś smutne rozbudza spomnienia; — a jednak i tym smutkiem pokrzepia, orzeźwia.

Otóż do tej to Warszawy przybył nasz Kazimierz. Znał on już dzieje tego miasta stare i nowe; bo też znał prawie wszystko, a przynajmniej starał się znać wszystko, co się na jego ziemi działo, co na niej pięknego i wielkiego, co na niej smutnego i nieszczęśliwego się wydarzyło. Wiedział więc, że Warszawa to bardzo stare miasto, że prawie już ośmset lat temu, jak tam stanęła, gdzie dzisiaj stoi, wiedział, że za królów Zygmuntów stała się stolicą całej Polski; wiedział nawet z opisów, co za kościoły, klasztory, jakie pałace to miasto w sobie mieściło.

A teraz naocznie miał oglądać to wszystko, o czem tak dawno już marzył!

Dopóki ojciec bawił w Warszawie, — a zatrzymał się tam dwa dni całe, — wszędzie mu towarzyszył, ani na krok go nie odstępował: bo też z małej mieściny przybywszy do tak wielkiego miasta, bał się nawet kilka kroków sam zapuścić w miasto, żeby nie zabłądzić w niezliczonych ulicach, krzyżujących się we wszystkich kierunkach. Trzymając się więc lękliwie ojca za rękę, ze zdumieniem spoglądał na śliczne pałace, na kamienice kilkopiętrowe, wysokie jak wieże, na wspaniałe kościoły, — i nie wiedział, gdzie oczy swe obrócić, bo wszystko tam dla niego było nowem, zajmującem.

(Dalszy ciąg nastąpi).

HISTORYA STANÓW ZJEDNOCZONYCH

OD ODKRYCIA AMERYKI, AŻ DO NASZYCH CZASOW.

(Ciąg dalszy.)

W wieczór 11 października dała się czuć woń kwiatów; była to oznaka blizkiego lądu. Już odśpiewano hymn wielbiący Najśw. Pannę, a po modlitwie dziękczynnej do Najwyższego, zapewnił Columbus towarzyszów, że nazajutrz obaczą ląd; lecz ci wątpili jeszcze, ponieważ już dwa razy oznaki lądu wzbudziły w ich sercach nadzieję, która się nie ziściła. Columbus pozostał sam na pokładzie aż do północy, gdy naraz spostrzegł na dalekim horyzoncie odblask poruszających się świateł; aby być pewnym, przywołał jeszcze innych, a ci dokładnie zobaczyli palące się pochodnie. Zaledwie okazał się brzask, a oczom ich przedstawiały się zielone lasy, a śpiew wesołych ptasząt i odgłos mowy ludzkiej odbijał się o ich uszy.

Odziany w purpurę, z mieczem w jednej a sztandarem w drugiej ręce, wstąpił Columbus na ląd; tu w pośród najpiękniejszej sceneryi, wśród woni tysiącznych kwiatów, padli wszyscy na kolana i wspólnie podnieśli hymn dziękczynny do Pana panów. Krajowcy zadziwieni otoczyli ich kołem, mniemając, iż to są synowie wielkiego ich bóztwa, słońca. Nie zrozumieli zresztą znaczenia ceremonii, jaką Columbus rozpoczął; wstawszy bowiem, rozwinął chorągiew królewską, kazał na miejscu, gdzie wylądował, wystawić krzyż i w imieniu Izabelli i Fryderyka zajął tę wyspę, która należy do grupy Bahamas — krajowcy nazywali ją Guanahama, Anglicy zaś nazwali ją później Cat Island. Columbus dał jej nazwę San Salvador (św. Zbawiciel) a w mniemaniu, iż znalazł wybrzeże Indył, nazwał krajowców Indyanami, która to nazwa przeniosła się na wszystkich mieszkańców Ameryki.

Pobywszy niejakiś czas na wyspie, zapoznał się z zwyczajami krajowców, a nie znalazłszy złota, srebra i perłów, których się spodziewał, popłynął na południe, gdzie odkrył kilka mniejszych wysp i dotarł nareszcie do wyspy Cuba i St. Domingo, gdzie się dosyć złota i srebra znajdowało. Przekonany, iż odkrył kraj złota, znany u starożytnych pod nazwą „Ophir", powrócił do Hiszpanii, gdzie go wprawdzie przyjęto ze czcią, lecz nie uznano jego zasług jak się należało. Chciano bowiem zamilczeć przed światem o odkryciu nowych krajów. Nawet imienia jego nie nadano nowemu krajowi. Americus Vespuccius z Florencyi doznał tego honoru. W towarzystwie Ojedy, który odbył pierwszą podróż z Columbusem, odwiedził Indye Zachodnie, odkrył w roku 1499 wschodnie wybrzeże południowej Ameryki, na północ rzeki Oronoco i ogłosił w r. 1504 opis krajów, które odwiedził, a ponieważ twierdził, iż pierwszy wstąpił na stały ląd tej części świata, nazwano ją Ameryką. Twierdzenie jego było niesłusznem, gdyż Columbus był już odwiedził ląd stały przed nim i także Cabot, który dwa lata przed tem odkrył Labrador, Nową Fundlandyę i część wybrzeża nowo-angielskiego.

Columbus przedsięwziął jeszcze trzy podróże do Indyj Zachodnich, założył osady, odkrył w sierpniu 1498 ląd stały przy ujściu rzeki Oronoco, który podług jego mniemania także był wyspą w pobliżu Azyi — żył i umarł nie znając wcale doniosłości swego odkrycia.

(Dalszy ciąg nastąpi.)